



**DZIWNA
HISTORIA
PIOTRA
SCHLEMIHLA**

i inne opowieści fantastyczne

Armoryka

DZIWNA HISTORIA PIOTRA SCHLEMIHLA

i inne opowieści fantastyczne

DZIWNA HISTORIA PIOTRA SCHLEMIHLA

i inne opowieści fantastyczne

**Adalbert von Chamisso,
Ernst Theodor Amadeus Hoffmann,
Antoni Pietkiewicz**

**Armoryka
SANDOMIERZ 2009**

Redaktor: Brunisława (Brunia) Kot
Projekt okładki: Juliusz Susak

Copyright © 2009 by Wydawnictwo
i Księgarnia Internetowa ARMORYKA

Wydawnictwo ARMORYKA
ul. Krucza 16
27-600 Sandomierz
tel (0-15) 833 21 41
e-mail: wydawnictwo.armoryka@interia.pl
<http://www.armoryka.strefa.pl/>

ISBN 978-83-7639-006-2

Antoni Pietkiewicz

WIGILIA ŚWIĘTEGO JANA

opowiadanie fantastyczne

*Opowiem wam, co mi się dawniej przywidziało:
Może we śnie — Bo kiedy sen uwięzi ciało,
Duch wolny może obiec rozległą krainę,
I długie pasmo życia w jedną zwić godzinę.*

Sen
(z Lorda Byrona)

I.

Znasz mię Stefanie. Dziwiłeś się nieraz zbyt nagłym od-
mianom mojego humoru, który czasami aż do szalonej weso-
łości dochodził — czasami w niedocieczonym smutku mię po-
grążał — albo też i marzeń krainę, w krainę lubego dumania

unosił. Lecz jeślibyś, jakimkolwiek sposobem, potrafił przeniknąć moje dziwaczne marzenia; jeśliby one nagle się ukształtowały w obrazy widzialne dla oka, zwały się w dźwięki, które by ucho pochwycić zdołało: o, wtenczas byś pewno szaleńcem twórcę ich nazwał. Nic nie ma na świecie, aby, w marzeniach moich, dla mnie do spełnienia niepodobne było. W obłąkaniu moim, uważam siebie za jakieś bóstwo, za Czarnoksiężnika, któremu orszak Geniuszów posługuje, którego czarodziejska laska tłum dziwów skinieniem tworzy. Świat cały przede mną ugina kolana; anioły i czarty, niebios a i piekło — na moje rozkazy!

W chwilach tych marzeń, lubię się pieścić z tajemniczo—poetycznymi podaniami gminu, które i bez tego, dla mnie, zawierają w sobie jakiś pociągający urok. Lubię im nawet i wierzyć; ale na niedolę, sam koniecznie pragnę o ich prawdzie się przeświadczyć! Powiadam — na niedolę — bo doświadczenie, wróg najzaciętszy idealizmu i marzeń, swoim wielowładnym berłem, potłukło ów rozkoszny urok niektórych z tych podań; jak niegdyś stary mój Pan Dyrektor, zabierając się do nauczania, i kładąc mi książkę przed oczy, nielitościwie niszczył moje hieroglify z kwiatów, i z kart pałace, poukładane na stole.

W wigilię Nowego Roku, w północ, siedziałem przed zwierciadłem, oczekując zjawienia się mojej narzeczonej i całej przyszłości. Z fajką w ustach, a piórem w ręku, usiadłem przy stole usłanym książkami i szpargałami papieru i długo dumałem, to w lustro spoglądając, to z dymu kóleczka rzucając w powietrze, a czasem myśli na papier. Minęła północ — i cóż widziałem? czego dociekle? — prawdy! Wziąłem jedną lekcję doświadczenia, którego sposób nauczania śmiało porównać można do tego, jakim belfry bachorów po karczmach uczą.

Przedemną w zwierciadle była mroczna, nieprzejrzana przestrzeń, i ja, dokoła otoczony książkami z piórem w ręku, nad mym pamiętnikiem. Wprawdzie to można było przyjąć

za istotną wróżbę. lecz ja nie tego żądałem. Widziałem moje przeznaczenie: przyszłość moja — tajemnica, jak przyszłość każdego człowieka. Przeczucie tylko powiada, że smutna. Praca moją przeznaczoną. Księgi i pióro — moi przyjaciele. Można to przyjąć za prawdziwą wróżbę, lecz jeszcze raz mówię, że ja nie tego żądałem.

W wigilią Ś. Jana, do której tyle dziwów lud nasz przywiązuje, wróciłem ze szkół do domu, i nasłuchawszy się gawęd staruszki, mojej i mego ojca piastunki, o strachach, czarownikach i wiedźmach, urokach, zawitkach w zbożu, o odbieraniu u krów i mleka itp., kiedy mi jeszcze oznajmiła, że ma gotować cedziłkę na osinowych drewnkach, by poznać, kto mleko u krów odbiera; postanowiłem w tym jej dopomóc, i na zaś, po dokładnym opisaniu sposobów, rzecz całą zdała na moje ręce.

A tak! Więc, na dziedzińcu, który tylko parkanem był oddzielony od starej kapliczki i cmentarza, kazałem rozpalić ogień, i na trójnogu postawić kociołek z Jordąńską wodą. Przyniosłem piasku z mogiły, który z cedziłką wrzuciłem do kociołka i tak już wszystko urządziwszy, o samej jedenastej w nocy, zasiadłem u ognia, oczekując zjawienia się wiedźmy. Ta zaś musiała przyjść do mnie koniecznie, bo to jej dusza z cedziłką się warzyła. Ona zaś, dla ulżenia sobie męki, powinna była nieodmiennie przyszedłszy prosić choć o szklanekę wody, a zalecone mi było odmówić, a nawet drzazgi węgielka, piasku z dziedzińca wziąć nie pozwolić, bo uszłaby cała, i znowu szkodziłaby krowom. A tak zaś musi umierać lub czarów zaprzestać.

Dla większej pewności i bezpieczeństwa postawię strzelbę przy sobie i psu leżeć każę, i niecierpliwie oczekuję, zapowiedzianych odwiedzin czarownicy. Spoglądam to na zegarek, to na niebo, to drewno na ogień podrzucam, i marzę. Staram się myśleć o czymkolwiek rozsądniejszym, nie zaś o czarach, w które na ten raz pragnę nie wierzyć, bo włosy na głowie powstają!

Już blisko dwunastej. Dokola uroczysta cisza, którą czasami tylko szczekanie psów wioskowych przerwie, lub pianie koguta. Już sama dwunasta. Wiatr dmuchnął. Płomień się zaiskrzył. Pies warcząc rzucił się ku furtce na cmentarz wiodącej, która się z wolna rozwarła, i — jakieś straszdyło w bieli weszło na dziedziniec. Struchlałem ze strachu! Sam nie wiem, jakim sposobem porwałem za strzelbę, i chociaż ręce mi drgały, jak liść na osinie, jednakże niby to zmierzyłem — strzał huknął, i cała psiarnia, dotychczas uszpanowana, rzuciła się z wrzaskiem na straszdyło.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — rzekło to, chwiejącym się krokiem, zbliżając się do ognia. — Czarty przekłete! Czego wy ode mnie chcecie? Wszelki duch Pana Boga chwali!

— I ja chwale! — odrzekłem niewyraźnie, bo zęby strasznie dzwoniły.

— Cóż to, paniczu, robicie? — zapytało widmo ochryłym głosem, ślaniając się na nogach.

— To ty, Kazimierzu?

Widmem był szewc, zwolennik Bachusa, który, po śmierci żony, zazwyczaj każdej nocy sypiał na cmentarzu, w śmiertelnej koszuli, z butelką gorzalki w ręku.

— Czy nie raniłem ciebie? — spytałem, trochę ochłonawszy.

— Czyż to panicz do mnie strzelili? Tak! Nu i powiedźcie! ja myślałem, że do sowy, albo do tchórza, aż no do mnie! A gdyby panicz mnie zabili?

— A czegoż włóczysz się po nocy, jakby upiór jaki?

— Byłem u nieboszczki żonki; pogawędziliśmy trochę, daj wydziubali ot tę buteleczkę — rzekł, pokazując garncową flaszkę. — Chodziłem do Żydów, ale te łajdaki nie dali mi więcej gorzalki na kreskę. Za to jutro łotrów Jordańską wodą wykropię, a tymczasem panicz niechaj mi sypnie do flaszki krembambuili garsteczkę, to, i za panicza zdrowie gągniemy z żonunią.

— Oj! warto ci sypnąć! Tylko nie gorzałki, ale brzoźowego kwasu! Czego się włóczysz po nocy, i nawet po śmierci, pokoju żonie nie dajesz?

— Kwita byka za indyka! Nie miałem ja od niej pokoju za życia!

Westchnął nieborak, podrapał się w głowę, i rzekł po chwili:

— To panicz taki bez żartu nie da mi wódeczki?

— Więcej jak pewno, bo śpią już wszyscy i tobie radziłbym takóž pójść wyspać się w domu, a nie na mogile, a jutro...

— Jutro! dobrze, jutro znowu przyjdę, a panicz za to da mi naliweczki! Dobranoc!

I poszedł śpiewając:

*Choc ja upiusia
Da nie powaliusia.*

Zagasilem ogień i powróciłem do pokoju. Śniło mi się, że byłem na Łysej Górze, płasalem z obrzydliwymi wiedźmami wkoło rozpalonych stosów, a diabli strzelali do mnie z ludzkich goleni, i przepijali z ludzkich czaszek, krwią napelnionych. Nareszcie, wleciawszy na łopacie przez komin do swego pokoju, ocknałem się ze snu.

Staruszka utrzymywała, że Szewc jest czarownikiem, i że wkrótce umrze, jeżeli tylko nic z dziedzinka nie wziął.

Tak więc i tutaj doświadczenie przykrą nauczke mojej wyobraźni dało. Nie mogłem wytłumaczyć sobie, dlaczego nie przyszła czarownica? Wszystkie warunki obrzędu spełniłem tak ściśle! I gotów już byłem wierzyć razem z piastunką moją, że Szewc istotnie czarownik.

Zrodzony w stronie zabobonnej, oddany na ręce zabobonnej niańce, codziennie slyszalem od niej i nowe i te same powiastki o różnych dziwach, osnute na tle czarodziejstwa. One były mlekiem dla mej wyobraźni, były pierwszą groźbą i pierwszą pieszczotą, które mogła pojąć. I pierwszym snem

i marzeniem pierwszym, Później, rosnąc w lata, w nagrodę za grzeczność odbierałem nową powiastkę od niańki, a smaczne podwieczorki i cukier, lub drobne pieniądze, których się chętnie zrzekałem za pokarm dla wyobraźni, dostarczały mi pod dostatkiem bajek od starych pastuchów i strzelców.

Dziś zdrowy rozsądek każe mi wyrzec się tej wiary, lecz wyobraźnia dotąd podoba sobie w tych dzikich marzeniach, a nawet dość często rozsądek zagłusza. Nie dziw się więc temu, co ci jeszcze opowiadać będę.

II.

Było to właśnie w Wigilię Świętego Jana. Było już późno. W szlafroku, z gitarą w ręku, siedziałem przed rozwartym oknem mego pokoiku, w którym nikogo więcej nie było prócz mnie jednego. Prócz mojego ciała, bo dusza była w krainie błogiej dumania. Czasami uderzałem po stronach gitary, a ciche jej brzmienia, wietrzyk, objawwszy skrzydełkami swymi, niósł gdzieś daleko, daleko... a z nimi razem niósł moje myśli i westchnienia moje. Czasami powtarzałem *Sonety Adama*, które mi, pomimo mej wiedzy, czarowny urok nocy wywoływał z duszy, brzmiąc w niej jak powiew wieczornego wiatru, co strony arfy w przelocie zamąci.

*Rzeźwią się wiatry; dzienna wolnieje posucha;
Źródła szemrzą, jak przez sen, na łożu z bławatów;
Powietrze tchnące wonią, tą muzyką kwiatów
Mówi do serca głosem tajemnym dla ucha.*

O, bo też i rozkoszna to noc była! Noc jaką Adam pierwszą widział w raj, ubraną w kwiaty, z księżycem na czole, snem na piersiach, i pocałunkiem kobiety na ustach. — Jak mówi: Kraszewski.

I jakże było nie dumać, nie marzyć w tak rozkosznej nocy?! Gdy wszystko, co mię otaczało, tak było cudne jak

samo marzenie! Gdy niebo i ziemia, i księżyc, i gwiazdy, i kwiatki i strumyki, wszystko zdawało się marzyć marzeniem czarownym, przede snem rozkosznym, jak młody poeta, dla którego duszy, i we śnie i na jawie, świecą oczy jego lubej, promienne miłością. I jakże było nie marzyć?!

*Marzyłem — moje marzenia
Jak fala morska się wzdęły,
Dotęgli niebios sklepienia,
I aż na gwiazdach spoczęły.
I gwiazdy swoim łagodnym spojrzeniem
Duszy mej odpowiedź dały,
Bo myśli moje poznały,
I jam dziękował gwiazdom głębokim westchnieniem.*

Ale z tych słodkich poetycznych dumań wyrwał mię prozaiiczny sługus, co przyszedł pościelać mi łóżko. Westchnąwszy odszedłem od okna, położyłem gitarę na stole, a struny jej, wzruszone nagłym wstrząśnieniem, zmieszany dźwięk wydały — i ona westchnęła!...

Zapaliłem fajkę, utarłem świecę, i znowu, stanąwszy przed oknem, zacząłem marzyć, spoglądając po niebie, przez lekkie obsłonki dymu, z którym się snuły i dumania moje. Wtem kilka meteorów jeden po drugim, mignęło w błękicie i na myśl mi przyszły zabobony gminu. Spojrzałem na sługusa, który, zasławszy mi łóżko, stanął u progu, i przestępując z nogi na nogę, cicho pochrząkiwał, co było znakiem, że chce rozpocząć gawędkę, bo wiedział stary gaduła, że ja z nim lubię rozprawiać o czasach i dziwach, ale nie lubię, żeby mi moje dumania przerywał.

— Powiedz mi, Jakubie — rzekłem — co znaczą te gwiazdy, które na ziemię spadają?

— A Bóg tam, paniczu, wie o tem — odpowie, drapiąc się w głowę.

— A ty co myślisz o nich?

— Da u nas powiadają... ale to długa historia, a panicz już pewno i spać zachciewa.

Zdziwiło mię mocno to ociąganie się Jakuba, który zazwyczaj z największą ochotą gawędkę ze mną zaczynał; starałem się więc, jakimkolwiek sposobem, rozruszać jego język.

— O! nie, Jakubie, jeszcze nie prędko spać pójdę. Wolę pogawędzić z tobą, i czegokolwiek się dowiedzieć. I cóż tam u was powiadają?

— Mało co u nas, w prostocie, mówią! Panicz—że po książkach czyta, to lepiej wie od nas.

— A! Gdzie tam, kochany Jakubie. W książkach! Co tam rozumnego? Same bałamuctwa tylko i nic więcej. Czytaj, czytaj, aż głowa cię zaboli, a nic nie zrozumiesz. Ty zaś, jak opowiesz, to lepiej niż z książki.

Udobruchany staruszek odkaszlnął i zaczął:

— Da to i tak i siak mówią o tym ludzie: inni powiadają, że każda gwiazda to znaczy życie człowieka. Jak człowiek się narodzi, to Pan Bóg i zorkę dla niego na niebie zapali; a jak człowiek umrze, to i gwiazdeczka z nieba na ziemię się skoci. A panicz jak myśli o tym?

— Być może, być może. I w książkach jest coś podobnego.

I przyszły mi na myśl mniemania starożytnych, i wróżby przyszłości z obiegu ciał niebieskich. Ten się urodził pod szczęśliwą gwiazdą, i w całym swym życiu był ulubieńcem fortuny, ona mu wieńce różane splatała. Temu złowroga gwiazda przyświeca, i całe swe życie po cierniach postępować musi i wieniec z pokrzywy nosić. Tak starożytni mniemali, tak wielu i teraz sądzi. A lud nasz, zabobonność z pobożnością łącząc, powiada, że z przyjściem człowieka na świat, Bóg gwiazdkę dla niego na niebie zapala; ta mu przez cały ciąg życia przyświeca, i gaśnie razem z jego skonem.

Te gwiazdki nie są to promienne główki aniołów stróżów naszych, którzy precz cały nasz żywot z nieba na człowieka patrzą, a przy jego skonie zlatują na ziemię, by smutną śmier-

ci godzinę osłodzić przypomnieniem raj, i duszę swobodną na swoich skrzydłach tam zanieść na wieczną szczęśliwość.

— Być może, kochany Jakubie; ale cóż więcej o tym powiadają?

— Co więcej?

Obejrzał się dokoła, poskrobał się w głowę i milczał.

— No, i cóż tedy?

— Już panicz spać chce pewno, i mnie takżej pora.

— O, nie! Jużem ci mówił, Jakubie, że nie chcę, że wolę gawędzić z tobą. Przynajmniej już dokończ o tych gwiazdkach mówić.

— Da kiedyż, paniczu o tem przeciw nocy gadać nie wypada, a jeszcze dzisiaj, na Kupało.

Teraz się domyśliłem, dla czego staruszek tak nieochotnie ze mną rozmowę zaczynał.

— I cóż tam takiego?

— Bo to, paniczu, powiadają że to... — tu się przeżegnał i plunął — że to czarci pieniądze zakłete przenoszą; a inni znów mówią, że — i znowu się przeżegnał — więdźmy na Łysą Górę tak leca. I to najprawdziwiej będzie. Wszak panicz tylko co widział, a dzisiaj wszystkim więdźmom w północ na Łysej górze być trzeba; a już i północ blisko. To pewno z naszej wioski baby poleciały na łopatach.

To mówiąc, cichutkimi głosem, staruszek ciągle w koło się oglądał, i żegnał się ukradkiem.

— Alboż tutaj na wsi są i czarownice?

— Oto to, paniczu! Pierwsza Hypina; onegdaj Macieja jak oczarowała gorzałką, to całą noc tłukł się po wsi, a nie mógł do chaty trafić.

— A tak, odrzekłem z przytłumionym śmiechem, wódką najłatwiej oczarować.

— Najłatwiej paniczu. Ot temu dwie niedzieli nazad, Maksym chciał, oczarować Hryhora. Jakoś to oni zeszli się u Arendarza, da, i zaczęli popijać sobie. Ot Maksym podaje Hryhorowi czarę, nad którą wprzódy coś tam poszeptał

w kątku, musi być swoje zaklęcia diabelskie. Ale i Hryhor nie głupi, i on wielki znachor; zaraz się domyślił sztuki. Dmuchała na gorzałkę, aż ta i zakipiwała w czarce, wylał pod stół — aż no i wyskoczył Niemczyk w kapeluszu. Ot Hryhor i chwycił Maksyma za brode; „— A! to ty taki majster! To ty mnie lichu chciał napić; jaż tobie napiję!” I poszła pociecha!... Nazajutrz przychodzili na sprawę do dworu; ale ekonom nic im nie poradził; obawiał się czarów.

— Powiedz—że mi, Jakubie, co tam dzisiaj więdźmy na Łysej Górze robią?

— Co robią? Wszakże dzisiejszy dzień najlepszy do wszystkich czarów: czy lubczyk gotować, czy mleko u krów odbierać, czy nietoperza w mrówkach zakopywać — to wszystko dzisiaj najlepiej. A na dopilnowanie kwiatu paproci, to i dnia innego nie ma.

— Ach prawda! Jakubie, bądź łaskaw przynieś mi suchych drewek, i ogień na kminku rozpal.

Staruszek wytrzeszczył oczy.

— Jezus Maria! co pan będzie robił? Czy nie czary jakie, broń Boże?

Czary, Jakubie. Tylko pamiętaj nic o tym nikomu nie mów. Ja będę lubczyk gotował.

Staruszek się uśmiechnął.

— Ehe! Paniczu, no to co innego. Ale i tu zawsze nieczysty duch mieszać się musi.

— Nie troszcz się, Jakubie, ja mam inny sposób. Nie trzeba mi ni trupiej kości, ni łapki nietoperza, słowem nic nieczystego.

Jakub nareszcie dał się uspokoić. Wkrótce jasny ogień płonął na kominku i woda wrzała w dość sporym saganie.

— Dobranoc, Jakubie i, wiesz, że do czarów trzeba samotności i północnej pory. Już blisko północ. Dobranoc!

— Dobranoc, paniczu.

— Pamiętaj — tajemnica!

— Nikomu nie powiem.

— Dobranoc!

Staruszek wyszedł. Woda na kominku wrzała. Upłynął czas jakiś, wyjrzałem przez okno, czy też mię Jakub nie podgląda opuściłem story, drzwi zaryglowałem i jeszcze kilka polanek na ogień wrzuciłem.

Usiadłem, przy stoliku, i nie wiem jak długo dumałem...

Serce we mnie biło i włos się na głowie jeżył; jak gdybym się lękał tego, co miałem przedsięwziąć.

Stałem na środku pokoju:

— Kici, kici, kici!

Z zapiecka, miaucząc i pociągając się, wyszedł kot śliczny, czarny jak węgiel, czarny i błyszczący, jak oczy młodej Hiszpanki, — (ma się rozumieć, jeśli ta ma oczy czarne i błyszczące) — i zaczął łaścić się przy mnie mruczając mi swoją piosenkę.

Biedak nie przeczuwał, co go czekało! Od dawna los mu już był przeznaczony. W wigilię Świętego Jana wybiła dla niego ostatnia godzina.

Porwałem kota, spętałem mu łapki i pysk zawiązałem, ażeby nie miauczał, i — marsz do wrzątku. Przykryłem garnek, bo biedne stworzenie, jęcząc niemym głosem, szamotać się poczęło. I gdybym na to od dawna nie był już przygotowany, uciekłbym na koniec świata; ale już raz do dzieła się wziąwszy, musiałem wytrwać do końca.

Pewno cię zadziwia moja wariacka, tyrańska operacja, ale takżeo pewno nie wiesz i o tym, o czym ci opowiem.

Trzeba wziąć kota czarnego, bez żadnej plamki, i w północ żywcem go zagotować. Później, usiadłszy przed zwierciadłem, przebierać jego kosteczki, każdą do ust biorąc po kolei. Otóż ta, którą trzymając w ustach, nie ujrzysz postaci swojej we zwierciadle, jest talizmanem niewidzialności. Idź z nią choćby na kraj świata, a nikt cię; widzieć nie będzie.

Po przejściu niejakiemu czasu, zdjąłem z komina garnek, wylałem wodę, i znalazłem kota zupełnie rozgotowanego.

*Wiesz, że u mnie wszystko,
Jak zwykle u literata:
Pod stolikiem, na stoliku,
Na półkach i w każdym kątku,
Książ i papierów bez liku,
Lecz ani za grosz porządku.*

Otóż na stoliku, zgromadziwszy na stół książki i szpargały, stawię wielkie zwierciadło; dobywam kota na tacę, i zapaliwszy fajkę zasiadam na krześle, z wielkim nożem w ręku, z ręcznikiem na szyi, dla rozpoczęcia swojej tajemniczej anatomii z kotem.

Każdą z kosteczek po kolei przecieram ręcznikiem, każdą do ust biorę, i najdrobniejszej nie mijam, i z każdą w lustro spoglądam. Minęło dość czasu, a ja ciągle kota ćwiartuję i kostki przebieram. Nareszcie, wziąwszy jedną drobniutką kosteczkę w usta, spojrzełem w zwierciadło — O dziwy! O szczęście!... Przede mną była tylko pusta, mgława przestrzeń, a mojej postaci nie było już w lustrze!

Mam więc talizman niewidzialności! Próżno bym się starał opisać moją radość tobie, wiem tylko, że serce szalenie skakało w piersi, i mózg się po głowie kręcił.

III.

Uszczęśliwiony posiadaniem czarodziejskiej kostki, która mię niewidzialnym czyniła, już tysiąc projektów zrobiłem, które z jej pomocą skutecznić miałem. A wszystkie były tak piękne, tak chwalebne, tak poetyczne! Każdy z nich zmierzał do uszczęśliwienia najpierwej innych, a potem mnie samego. Inni mieliby to wszystko, czego by tylko żądali, moje zaś szczęście na czym zależało? Wkrótce się dowiesz.

Może bym jeszcze długo się zajmował kreśleniem planów na przyszłość, ale przypomniałem sobie, że jeszcze dwie rzeczy mam do spełnienia.

Czy wiesz, że w północ przed Świętym Janem kwitnie, tajemnicza paproć, a kto jej kwiat znajdzie, ten będzie miał wszystko, o czym by tylko pomyślał. Będzie rozumiał rozmowę drzew, kwiatów, zwierząt, ptaków, słowem — wszystkich żywiołów natury.

Dość często już o tym od niańki kiedyś słyszałem, potem od wielu starych wieśniaków, a Jakub mój jeszcze mię bardziej w mniemaniu tym utwierdził, następną powiastką.

Raz gdyśmy rozprawiali z sobą o ukrytych skarbach, starszek mój, już wymieniwszy przynajmniej ze sto sposobów, jakimi je wydobyć można rzecze:

— A ot i nie dawno, z sąsiedniej wioski jeden parobek skarb znalazł.

— Jakże to było?

— A ot tak, paniczu, było. Przed Świętym Janem pojechał po drwa parobek. Wjechał do lasu, wypuścił woliki na paszę, a sam tymczasem zaczął drzewo rąbać. Ot już i narąbał, i na wóz położył. Już słońce zaszło; pora do gospody wracać. Spojrzy — aż to na polance wołów nie widać. Myślał, że w dąbrowę zeszyły. Więc on do dąbrowy: ahu! ahu! Niema i nie ma woliców! Jakby w wodę wpadły! Biednemu parobczakowi, jak gdyby nóż w serce! Nu co tu poradzisz? woły gospodarskie przepadły bez wieści! Choć kamień do szyi, daj głowę do wody. „— Oj biednym ja, biedny!” — płakał on, chodząc po lesie. O Boże mój, Boże!

A już i późno i straszno w dąbrowie... a była to noc diabelska, na wiedźm i czarowników i wszystkich nieczystych duchów. A było tak ciemno, że choć oko wykol, bo chmury biegły pod księżycem, wioząc na Łysą Górę wiedźmy i upiory a czarci, na wichrach lecąc, świstali nad lasem, a w dziuplach drzew starych zasłyszec można było jęklivą ich rozmowę z sowami i nietoperzami; a w chojach czyścicowe duszyczki piszczały żałośnie, i straszno było w dąbrowie.

Mego parobka jakby kto lodem obłożył. Co krok to dusza w nim tak i zamiera! To węże, sycząc, przed nim przepelzają,

gdzieś uciekając daleko, bo już Paryło zakwitło, a wiesz, panoczek, że tego ziela węże okropnie się boją. To Puchacz nad głową mu przeleci, a tam, spomiędzy drzew widać, na błocie, siny ognik błyszczy — to diabeł tak pieniądze zakłete przesusza, albo sam z bagna wybiera się na Łysą Górę.

Już u parobka, jak to powiadają, dusza w piętach siedzi, i zęby już dzwonią, i nogi się podginają. Aż tu, jakby kto jemu do ucha szepnął:

„— Idź, tam na prawo, przy osinie twoje woły stoją.”

Ot on i idzie na prawo, aż no i prawda, stoją jego woły. Chwalić ciebie Boże! Da druga bieda — sam nie wie, gdzie wóz porzucił? Tylko co to pomyśli, aż no i znowu, jakby kto jemu powiedział:

„— Na lewo, na kraju lasu.”

Poszedł, i wóz znalazł. Ale trzecia bieda: nu jak tu jechać do domu? Czy raz o tej porze, i czy jednego już diabli wodzili? A jak tu nocować? Skąd ognia wydobyć?

Tylko co to wspomniał, spojrzy — aż no niedaleczko, pod dębowym wywrotem, kurzy się ogieniek. Ot on nazbierał chruśniaku, podrzucił do ognia, woły przywiązał na długich powodach przy wozie, a sam, rozesławszy świtkę na ziemi, położył się odpocząć trochę, bo już i dzień blisko.

Leży, da, i myśli sobie, podrapując głowę:

„— Ot gdyby to garnek kuleszu, albo kaszy jakiej! Człowiek by pożywił duszę. Takież to od południa nic w gębie nie było.”

Zerknie — aż przy ogniu garnek kaszy stoi, i łyżka na wierzchu. Parobek oczom nie wierzy. Myśli, że to jemu śni się. Przygląda się lepiej — garnek przy ogniu stoi. Myśli, że go diabeł zwodzi. Żegna się — garnek sło. Tu już, długo nie czekając, dawaj zajadać, przeżegnawszy strawę.

Ot je on i słucha: dwa dęby, pod którymi siedział, coś gadają z sobą, a on to słyszy i dobrze rozumie, choć sam nie wie jakim rozumem.

I jeden dąb mówi:

„— Ot nasz starowina już dokonał wieku; wywrócił się biedak; a teraz mu ten człowiek i boki jeszcze podpała.”

A drugi odpowiada:

„— Ależ bo i długo on szumiał w tym lesie! Wszak ci to już lat dwieście, jak pod nim jakiś skąpiec pieniądze zakopał; a przedtem stał pewno lat trzysta. Już pora wieku dokonać.”

A pierwszy znowu powiada:

„— Gdyby to ten człowiek wiedział, da, wzięwszy łopatkę zaczął kopać na tem miejscu, gdzie on nogami przez wiek swój jamkę wycisnął, ot toby się pożywił!”

Co tu długo myśleć? Parobek mój dalej do siekiery, obrobił łopatkę, da, i nu kopać pod pniem wywróconym. Aż no i wykopał kociołek. Kiedy odkryje, da, kiedy spojrzy — a tam same talary! Tak on i omdlał z radości. Ale jeszcze myśli sobie:

„— Czy nie czary jakie? Czy nie diabeł tylko podkpiwa ze mnie?”

Przeżegnał pieniądze — nie giną, diabeł nie śmieje się w chrustach. Na dziej się wola boża! Co mógł to zabrać z tobą, to w zanadrze, to do kieszeni; a kocioł znowu zakopał, i miejsce dobrze zapamiętał sobie.

A już i dzień poczęło, zorza na niebie już dawno błyszczła, i ptaszki już dawno Bogu śpiewały. Ot mój parobczak, zaprząglszy woły, ruszył do gospody.

Przyjeżdża, a tam jakby czarci piwo warzyli! Gospodyni płacze, gospodarz hałasi. Strach boży! Kiedy on pocznie dopytywać się u dziatwy aż no powiadają, że z kleci ktoś ukradł pieniądze, co w kubie były złożone, dla zapasu na złą godzinę. Jakby to nie było, a karbowańców pięćdziesiąt, dla biednego chłopka piechotą nie chodzi. O! wiele krwawego potu na niwę wylać trzeba było, dopóki plon taki do kubła się zebrał. A i Bóg świadkiem, świadkiem i włość cała, że ani na jednym pieniążku łyż bliźniego nie ma. Było to czyste grosiwo, we własnym pocie obmyte.

Ot i parobka żal za serce chwycił, bo dobrych ludzi jakże nie szkodować? I myśli sobie:

„— I gdzieżby podziały się pieniądze?”

Aż no i znowu, jak gdyby kto jemu do ucha podszeptnął, i mówi on:

„— Nie płaczcie, dobry gospodarzu, znajdą się pieniądze. Idźcie no tylko do szynku; tam Pilip za stołem siedzi, da, wódkę popija, kołaczem zakąsuje. On wasze pieniądze sprzątnął, ale nie wiele jeszcze przeświślał. Pośpieszajcie tylko, da, nastraszcie jego dobrze, to on wam i odda wasze grosiwo.”

Gospodarz, nogi za pas wzięwszy, dalejże do karczmy aż prawda: Pilip za stołem siedzi, gorzałkę popija, kołaczem zakąsuje, i grosiwem w kieszeni dzwoni. Ot on do niego:

„— Gdzie moje karbowanie? Wraży ty synie? A wiesz ty, że ja znachor? Ty myślał, że ja o niczym nie wiem? nie bój się, i ja mam rozum! Podawaj mi zaraz moje dobro, a nie, to całe twoje bydło wykorzenie, dobytek wyniszczę, żonę i dzieci w grób wpędzę! Na ścieżkach twoich pokrzywa i czertopóloch wyrośnie, ty sam mogiły po śmierci nie znajdziesz na święconym miejscu. W bagnie, jak wisielca ciebie pochowają! Jak upiór będziesz włóczyć się po nocach, nim osinowym kołem nie przebiją, jak wilkołaka przeklinać cię będą!

Pilip mój ot tak i omdlał ze strachu!

„— Na tobie twoje pieniądze. Nieczysty mię spokusił! Nie gub przynajmniej biednej mojej duszy, nie gub moich dziełek!

Da do nóg gospodarzowi pada.

„— Nu, tak i być, ten raz daruję; ale nie próbuj już na nowo, nie wiąż się z nieczystym: bo i plemienia twego nie zostawię!

Rzekł mu gospodarz, wzięwszy kaletę swoją.

Wrócił do gospody, aż no tam narodu jak maku. A jego parobek dziwy dziwne robi. Gdzie co zginęło, on wszystko wie najlepiej — jakby sam był przy tem, tak wie gdzie szukać? Włość cała do niego przychodzi na rade, a on jak król jaki.

Nazajutrz, rano wstawszy, wczorajsze łapcie, co już się przydeptały, na śmietnik wyrzucił, a nowe obuł na nogi. Ludzie przychodzą na rade, ale nie ma już rady! Parobek jak był Hauryło z Połocka, tak i Hauryłem stał się na nowo. To tylko dobrze, że choć rozum zginął, da nie zginęły talary. Ot on, uciekwszy od gospodarza, i skarb swój zabrawszy, pojechał daleko, daleko... Teraz, słyszę, gdzieś tam za morzem króluje.

— I cóż to takiego było? Skąd był u niego ten rozum, co tak nagle zginął? — spytałem Jakuba.

— Co było? Gadajże, paniczu! Musi być, jak schodził po lesie, wplątał się mu do łapcia kwiat paproci — ot i rozumu nabrał, a jak łapcie zmienił ot i cały rozum na śmietnik wyrzucił.

Otóż to właśnie ta powiastka najbardziej mię pobudziła do poszukiwania cudownego kwiatu. Lecz dość już tego. Mówmy o drugiej rzeczy.

Czy wiesz, że w północ przed Świętym Janem najlepiej; zakopywać w mrowisku nietoperza, po którym znajdziesz tylko dwie kosteczki, mające kształt widełek i kruczka, Pragnąc pozyskać czyjekolwiek względy, kruczkiem go można przyciągnąć ku sobie. A gdy się stanie natrętnym z przychylnością swoją, widełki odepchnąć mogą. Owoż ja miałem jeszcze kwiatu paproci szukać i nietoperza zakopywać w mrówkach.

IV.

Zrzuciłem szlafrok, przywdziałem lekką opończę, a wzięwszy strzelbę i zagasiwszy świecę ruszyłem drogą do lasu.

Boże mój, co za noc była! Noc poetów, słowików, kwiatów, harmonii i czarodziejskiej woni. Musiała ziemia, anielskim czynem zasłużyć się Bogu, i Bóg Aniołom opiekuńczym nocy rozkazał przenieść do niej kilka rajskich godzin. Musiał krzywoprzysięzca, bluźnierca, ojcobójca, tarzając się w prochu, błagać przebaczenia, łzami rzewliwymi, u Mocarza światów, i ten łez jego nic wzgardził, a ucieszone Anioły całą naturę w godową postać przybrały.